

KLEMENS JUNOSZA

---

**Froim**

KLEMENS JUNOSZA

## *Froim*

Wśród piasków podlaskich i bagien, w zapadłej, lesistej okolicy, znajdowała się mała i nędzna miejscina... Może było w niej sto domów, a może i nie — któż tam spamięta? tembardziej, że co lat kilkanaście, ni stąd ni zowąd wybuchał pożar i całą miejscinę w kupę węgla i gruzów zamieniał, tak, że tylko okopcone kominy świadczyły o tem, że niegdyś w tem miejscu ludzkie siedziby istniały.

Zwykle po pożarze Żydkowie podnosili wielki płacz i lament, darli na sobie szaty, rwali włosy z głów i bród, płakali, jak ongi po zburzeniu świątyni — zbierali po okolicy wsparcia i składki... ale po kilku miesiącach łzy pogorzalców obsychały, jęki cichnęły — a natomiast rozlegał się zgrzyt pił i stuk toporów, i, jak grzyb po deszczu, wyrastała miejscina, niby to nowa, a taka sama nędzna i może jeszcze brudniejsza, niż przedtem.

Ladajako sklecone chałupki stały w czterech rzędach dokoła rynku. W otwartych drzwiach kramików kupcy stali, zapraszając, bardzo rzadkich zresztą, klientów... bachory tarzały się w piasku, a melancholicznie zadumane kozy rozmyślały nad tem, czemu by się pożywić.

Zdaje się, że ten sam temat zajmował nieustannie i całą, przeważnie żydowską, ludność miejsciny.

Sześć razy do roku bywały tu jarmarki, których całe miasteczko oczekiwało z upragnieniem.

Sześć razy do roku otwierał się tu pożądany zbyt na liche czapki, chłopskie buty, latane kozuchy i tym podobną niewykwintną garderobę. Przed każdym jarmarkiem wrzało życie i ruch. Żydówki nagwałt piekły obwarzanki, pierniki, makagigi i tym podobne przysmaki, Żydzi zaś sprowadzali lichej towar i fabrykowali piwo, wódkę i wszelkie inne trunki, żeby były smaczne i parzyły chłopskie gęby, jak się należy — jak ogień...

Jak się to tam robiło, rzecz nie moja, dość, że w wigilię jarmarku wszystko było gotowe. Radość jaśniała na każdym obliczu, a nawet przeraźliwe kwiki nieczystych stworzeń, na targowicę pędzonych, zdawały się napępiać rozkoszą serca tej wygłodniałej, wiecznie grosza spragnionej rzeszy kupczącej...

Gdy już mrok zapadał, fury się rozjechały i ostatniego pijaka wywleczono z szynku, miejscina zapadała znowuż w sen letargiczny, jak przedtem.

Kramarze drzemali w swych kletkach, Żydówki, rozsiadłszy się na progach swych domostw, robiły pończochy... a uczeni ludzie kiwali się nad księgami od rana do nocy... Chyba, że ktoś obcy przejeżdżał przez miejscinę — wtenczas budzono się z apaty, i cała populacja, zbierając się gromadnie, szła oglądać bryczkę lub powóz, dopytywać podróżnego albo stangreta: kto? dokąd? na co? i jaki ma interes?

Kury i kozy przychodziły zbierać resztki obroku, a jeden i drugi uczony, porzuciwszy księgi, chętnie zamieniał się w faktora, żeby kilka groszy zarobić.

Na samym środku rynku stał budynek stary, czerwony, odrapany, imponujący rozmiarami swymi drobnym drewnianym chałupkom. Była to duża austerya ze sklepikiem, izbą szynkwasową, brudnym „numerem” dla jaśnie wielmożnych podróżnych i wielką stajnią, w której co najmniej pluton kawaleryi mógłby się rozlokować swobodnie.

Ta austerya przetrwała wszystkie pożary i unikała zagłady w ogniewem morzu płomieni, — unikała, chociaż dokoła rynku ze wszystkich stron buchał ogień, chociaż waliły się z trzaskiem dachy domostw, sypiąc miliony iskier, — chociaż wiatr rozrzucał płonące głownie.

Głupi ludzie mówili, że austeryi dlatego ogień się nie ima, iż stoi ona na osobności, jest murowana i pokryta holenderską dachówką, ale kto miał chociaż trochę nauki, kto poczuł smak, jaki się w mądrych księgach znajduje, ten wiedział, że przyczyna leży w czym innym. Austerya nie spaliła się, bo się spalić nie mogła... i żeby ją kto zapalkami od fundamentu do komina obłożył, smołą oblał i pierzami obsypał, to przecież ogieńby jej nie tknął; bo było już takie założenie, oddawna było wymówione takie słowo, którego moc silniejsza jest nad siarkę, nad smołę i nad wszystkie potęgi czarnych dyabłów. Na co lepszego dowodu nad to (o czym jeszcze dziś starzy Żydki opowiadają, a co nawet, dla wiecznej rzeczy pamięci zapisane, stoi w księgach kahalnych), że kiedy, pięćdziesiąt lat temu, a może i więcej, był na świecie wielki harmider, gwałt i zamieszanie, kiedy połowa ludności z miasta uciekła, a druga połowa skryła się w piwnicach, kiedy huczało, jak podczas burzy, i kule ogniste latały, wówczas całe miasteczko poszło z dymem, a austerya została i, co więcej, ci, którzy strzelali, weszli do niej, aby się napić wódki. Historia twierdzi, że nie zapłacili za wódkę, bo mogli nie zapłacić, ale też nie zniszczyli austeryi, bo jej zniszczyć nie mogli, dlatego, że już takie założenie jest, żeby ona stała niewruszona na wieki...

Komu chce się śmiać, niech się śmieje, ale w miasteczku nawet lada bachur wie o tem, że przed laty stoma, a może nawet i dawniej, przejazdem zatrzymał się w tej karczynie mąż wielki, nabożny, sprawiedliwy, uczony, który miał wielką moc od Pana Boga, słowem — rabin; ale nie taki rabin, jak zwyczajny rabin, tylko wielki, bardzo wielki rabin, na cały świat znany; taki, do którego zjeżdżali się Żydzi z różnych miast, o piętnaście, dwadzieścia, może nawet o dwadzieścia pięć mil drogi! Na wielkie szczęście dla miasta, z powodu popsucia się fury i zmęczenia koni, tu owego rabina szabas zaskoczył... Tu więc był w łaźni, tu się modlił, a w austeryi całą dobę przemieszkwał. Jadł szczupaka z szafranem, kugel, cymes z marchwi i pił doskonale wino koszerne, takie, jakie w całym miasteczku było najlepsze. Jak go zaś przyjmowano, dość powiedzieć, że przez wdzięczność takie wielkie słowo wymówił, żeby ogień zawsze austeryę omijał...

Żałowali ludzie, że tego świętego słowa nie rozciągnął na całe miasto, ale przekonali się później, że mądry rabi wiedział dobrze, co robił. Pożar albowiem jest to taki interes, na którym w gruncie rzeczy wiele się nie traci — a odbudowanie miasta — to znów taki interes, na którym można coś zarobić w ciężkich czasach. Człowiek prosty i głupi narzeka nieraz na to, co jest, bo człowiek prosty jest ślepy i nie może wiedzieć, co będzie, — uczony zaś, wielki i sprawiedliwy człowiek, wie, co było, co jest i co będzie, i dlatego każde jego słowo jest mądre.

Wielkie pieniądze dawali Żydzi z innych miast, żeby austeryę kupić, bo taki dom mieć — znaczy to samo, co wielkie szczęście mieć — ale ani ówczesny właściciel, ani jego późniejsi sukcesorowie, nawet słuchać o takiej propozycji nie chcieli. Spluwali z oburzeniem, gdy ktoś o czemś podobnym wspomniał i — mieli za głupiego i bezbożnego człowieka każdego takiego amatora...

Bo i rzeczywiście, jak można pomyśleć, żeby kto za marny grosz chciał się pozbyć takiej szacownej, takiej drogiej pamiątki i wielkiego honoru, jaki z jej posiadania wynika...

Tak więc austerya od owego pamiętnego w dziejach miasteczka szabasu aż po dzień dzisiejszy jest w posiadaniu jednej i tej samej rodziny.

Obecnym jej właścicielem jest (bo żyje jeszcze dotychczas we czci i w spokoju) stary Froim.

Poznaliśmy go wypadkowo, przejeżdżając... Koniska spracowały się, dźwigając ciężką bryczkę po żółtych piaskach podlaskich, należał im się więc słusznie wypoczynek...

Wjechaliśmy w obszerne wrota austeryi. Towarzystwo składało się z kilku młodych ludzi, skłonnych do wesołości i żartów.

— Hej! hej! — zawołał jeden — móci panie oberżysto, pokaż-no się pan tutaj!

Oberżysta nie wyskoczył na to wezwanie, ale wybiegła natomiast dziewczyna, o czarnych rozczochranych włosach, pełnych pierzy, i oznajmiła, że tu zawsze dostanie wszystkiego, tak jak w Warszawie, a nawet jeszcze więcej, niż w Warszawie; tylko... stał się taki wypadek, że przed tygodniem właśnie był jarmark i chłopci zjedli wszystko, co się tylko znajdowało, tak, że w tej chwili niema już nic.

Co prawda, nie bardzo nas to oświadczenie zmartwiło, jechaliśmy albowiem z wakacji ze wsi, a gościnną gospodyni nakładła nam w bryczkę tyle prowizyi, że moglibyśmy o niej Bóg wie jak daleko zająchać.

Kazaliśmy dać koniom owsa, Maćkowi rozczochrana Żydóweczka wyniosła kielich gorzałki, a my, wzięwszy z sobą koszyk z pożywieniem, rozsiedliśmy się w izbie gościnnej.

W sąsiednim pokoju siedział Żyd stary z długą brodą, białą, jak śnieg, w aksamitnej czapce na głowie i, nie zważając wcale na nasze przybycie, czytał coś z wielkiej księgi, rozłożonej przed nim na stole.

— Panie Abrahamie! panie gospodarzu! — zawołał któryś z kolegów — chodźcie pan do nas, powiedz-no nam, co masz? co tu można dostać?

Żyd podniósł się, wyprostował i, gładząc brodę, wszedł do izby.

— Nie jestem Abraham — rzekł z ukłonem — moje imię jest Froim; widzę, że panowie nie tutejsi, skoro nie znają starego Froima.

— Froim, Froim — powtarzał jeden z kolegów, to imię często wspominał mój dziadek nieboszczyk, który przed laty mieszkał w tych stronach.

— A przepraszam, jak godność pańskiego dziadka?...

— Nosił to samo nazwisko, co ja — odrzekł zapytany — Brzozowski... miał niegdyś w tych stronach majątek Czarny-bród.

W oczach Żyda zajaśniał blask szczególny.

— Pan Brzozowski — zawołał — pan Brzozowski, wnuk pana Walentego... wnuczek rodzony! Pozwól pan! niech się panu przypatrzę!... Tak, tak, pan podobny jesteś do dziadka... tylko tamten nie lubił się śmiać, tak jak pan...

Kolega mój zawstydział się trochę.

— No, nic nie szkodzi, nie szkodzi — rzekł Froim — młodzi panicze lubią czasem śmiać się ze starego Żyda, bo na to są młodzi panicze... a na to jest stary Żyd, żeby się z niego śmieli.

— Ale pozwól pan...

— Nieboszczyk dziadek pański rozumiał to inaczej, i ja rozumiałem inaczej... ale, co prawda, i na świecie także było inaczej; dziś jest niedobrze, bardzo niedobrze... ale może to lepiej, Pan Bóg wie, co robi...

— Jakto, co pan mówisz? więc to lepiej, że jest teraz niedobrze na świecie?

— Ja panom wytłumaczę. Ze mnie śmieją się, że czytam książki, a czytam czasem cały dzień i całą noc... Panowie, jak przejeżdżają, to mówią, że Froim myśli przez całe życie o małej bagatelce, o głupstwie... wiecie panowie o czym? Panowie powiadają, że, jak się wbije gwóźdź w ścianę i potem jak się go wyjmie, to w ścianie jest dziurka... więc niby Froim całe życie myśli, gdzie się podziało drzewo z tego miejsca, w którym zrobiła się dziurka?

Rozśmieliśmy się.

— Ale to nieprawda jest. Froim myśli co innego; on myśli o tem, co w piśmie stoi, że na świecie będzie ciągle gorzej, coraz gorzej... ludziom zaczną się robić przewrócenie w głowie, serce u nich będzie twardsze, niż kamień, i Pan Bóg da ludziom karę... a potem po karze to oni poprawią się, i znowu będzie na świecie dobrze. Wilk będzie jadł trawę razem z kozą i krzywdy jej nie zrobi. Ja miarkuję, że niedługo Pan Bóg da już karę, bo na świecie jest gorzej, coraz gorzej i będzie jeszcze gorzej. Krzywda, fałsz, oszukaństwo nastanie gorsze jeszcze, niż teraz; jak jeden zobaczy u drugiego chleb, to mu zechce wydrzeć... jak jeden będzie mocniejszy, to zabierze drugiemu majątek, szczęście... życie mu zabierze... a dlaczego zabierze? czy dlatego, że jemu się należy? czy dlatego, że jakie prawo ma? Nie, tylko przez to, że jest mocniejszy. Nastanie taki czas, jaki jeszcze nie był, i taki ścisk na ludzi, jaki jeszcze nie był, i takie płkanie nieszczęśliwych, jakie jeszcze nie było, i taka bieda, i taka krzywda, i taka niesprawiedliwość, jaka jeszcze nie była. To się już zaczyna... to już zaczyna się... Ja, stary, nie doczekam obaczyć, co dalej będzie; ale panowie jesteście młodzi, przed wami długie życie, przekonacie się, że wszystko obróci się na gorsze...

— Tfu! do licha, panie Froim — zawołał Brzozowski — czy po to przyjechaliliśmy tutaj, żebyś nas pan takimi obrazami przerażał... Ot, lepiej bądź pan uprzejmym gospodarzem i przynieś nam wina, jeżeli notabene masz jakie wino w swojej piwnicy.

Froim uśmiechnął się gorzko.

— Dlaczego ja nie mam mieć wina? — zapytał.

— Pewnie lura, jakiej świat jeszcze nie widział?

— Co panu szkodzi skosztować trochę tej lury? jak się nie będzie podobać, nie przymuszę... próba frei.

Zawołał na służącą, która też niebawem przyniosła wino i kieliszki.

Po otworzeniu butelki prześliczny aromat napełnił całą stancję; aczkolwiek nie doskonali znawcy, spostrzeegliśmy, że mamy przed sobą nielada okaz archeologii piwnicznej.

— To stare jakieś wino — rzekł Brzozowski.

— Niebardzo ono stare — odpowiedział Froim. — Mój ojciec sprowadził je wtenczas, kiedy w naszym miasteczku stojeli Francuzi. Było ich tu dosyć tych Francuzów, pamiętam doskonale... to już więcej, niż kilka lat — dodał z uśmiechem. — Panie Brzozowski, pij pan zdrów... Dziadek pański bardzo to wino lubił. Pij na zdrowie, nie policzę panu drożej, niż dziadkowi, a dziadkowi liczyłem je tak, jak mój ojciec Francuzom... jeden dukat butelka... nie więcej...

Wstał, obejrzał, czy niema kogo w sąsiedniej stancyi i, przymknąwszy drzwi, usiadł przy nas i mówił ciszej:

— Jak ja kontent jestem, że pana widzę, panie Brzozowski; jak ja kontent, że zobaczył pana!... Zaraz mi się przypomniał dziadek pański, pan Brzozowski z Czarnego brodu, mój najlepszy przyjaciel... To nie wstyd dla pańskiego dziadka, że on był mój przyjaciel, że miał przyjacielstwo z Żydem, bo Pan Bóg stworzył wszystkich ludzi z ziemi i nawet pierwszego człowieka kazał nazywać »syn ziemi«, i od Pana Boga pochodzi każdy zakon i każda religia, i od Pana Boga jest przykazanie, żeby człowiek żył uczciwie w takim zakonie, jaki jemu Pan Bóg dał... Od jednego Pana Boga mamy życie i śmierć, szczęście i nieszczęście, bogactwo i głód... wszystko od jednego Boga mamy, bo niema dwóch Bogów, ani dużo Bogów, tylko jest jeden Bóg dla wszystkich zakonów i dla wszystkich ludzi... Pański dziadek to samo powiadał i nigdy nie pogardził Żydem... On pogardził tylko oszustem, szachrajem, złodziejem, rozbójnikiem, ale kiedy miał za co pogardzić, to nie pytał, czy on Żyd, czy on nie Żyd, tylko gardził tym człowiekiem, łajdakiem gardził... Pański dziadek miał wielki rozum i wielkie serce... On nawet śmierci to tak patrzył w oczy spokojnie, jak ja na tę butelkę patrzę.

— Skąd pan to możesz wiedzieć? — zapytałem.

— Widziałem to — odpowiedział spokojnie — mojemu oczami widziałem. No, ale pijcie no, panowie, bo takie wino warto pić, już jego niewiele jest na świecie... My z nieboszczykiem panem Brzozowskim mieliśmy taką starą znajomość, jak to wino jest stare. Byliśmy z nim razem i na wozie i pod wozem... On mnie raz obronił w wielkim nieszczęściu, i że jeszcze żyję na świecie, i że chwałę Pana Boga, to jemu tylko mam podziękować. To już dawno było, panowie, dawno, ale ja pamiętam. Już, już miałem ginąć, za co? to ja sam nie wiem, ale śmierć miałem przed oczami... przybiegł pański dziadek, obronił mnie... ja zemdlałem... Nie dziwota, ja nie byłem wojak... nie żydowski to interes i nie żydowska natura... mój ojciec, mój dziadek nie był wojak... ale pański dziadek, panie Brzozowski, pański dziadek to odważny człowiek był... Długo czekałem na to, żeby mu się odwdziżyć i — doczekałem się... przyszedł znów taki czas, że dziadkowi pańskiemu groziło nieszczęście... Pan Bóg, który czasem daje moc słabemu, pozwolił mi go także uratować. Ja się wtenczas, co prawda, bardzo bałem, ja strasznie się lękałem, ale ja to zrobiłem...

— Panie Froim — rzekł Brzozowski — więc to pan jesteś tym Żydem, o którym dziadek mój tak wiele dobrego opowiadał?

— Pewnie, że ja jestem tym Żydem, i to pewnie że ja tak szanowałem pańskiego dziadka, jak on mnie... Ja handlowałem z nim uczciwie, ja zarobiłem przy nim, ale ja go nie obdarłem, nie skrzywdziłem, jak to się praktykuje na świecie... On żył, i ja żyłem, on się dorabiał, i ja się dorabiałem, nawet, chwalić Pana Boga, ładnie się dorobiłem... ale jak przyszło nieszczęście, to i on stracił, i ja straciłem... Nie płakaliśmy... Bóg dał, Bóg wziął... taka Jego wola... Bóg nawet czasem chce zrobić taką próbę nad człowiekiem, czy, jeżeli on jest nabożny i sprawiedliwy w szczęściu, będzie taki sam i w nieszczęściu... A wiesz pan, panie Brzozowski, dlaczego pański dziadek majątek stracił? dlaczego ja majątek straciłem?... przez nieszczęście. A nieszczęście bywa różnego gatunku: jedno takie, jak kamyk, co, jak spadnie z góry, to może człowiekowi głowę skaleczyć... drugie znów będzie, jak cała góra kamieni, co, jak się zwali, to wszystkich ludzi gniecie... Na nas zwała się cała góra!!

Nie przerywaliśmy, a stary Żyd westchnął głęboko i tak ciągnął dalej:

— Oj... oj... to było dawno, bardzo dawno; panowie młodzi nie żyliście jeszcze na świecie, ale ja żyłem, pana Brzozowskiego dziadek żył wtenczas... Na nasze plecy zwała się cała góra, bo taka była wola od Pana Boga... Myśmy nie płakali, myśmy nie wyrzekali, bo wiadomo, że czasem Pan Bóg daje nieszczęście dlatego, żeby z tego nieszczęścia zrobiło się szczęście. Więc myśmy cierpieli i chwaliliśmy Pana Boga: pan Brzozowski nieboszczyk po swojemu, a ja po swojemu, i prosiliśmy Go, żeby dał nam wytrzymać nieszczęście, a z tego nieszczęścia żeby zrobił szczęście. No, Pan Bóg nie wysłuchał, miał inszą wolę, insze swoje pomyślenie i z nieszczęścia nie dał szczęścia, ale chciał próbować ludzi i dał jeszcze gorsze nieszczęście. On tak chciał, i to trzeba też przyjąć... Jak rosa pada na ziemię, to z tego lepiej zboże rośnie; jak pada płkanie z ludzkich oczów, to także nie darmo. Od tego Pan Bóg trzyma tysiące aniołów, żeby oni to płkanie zapisali, zważyli, zmierzyli i zrobili całą sumę, co kiedyś będzie Jemu do rachunku potrzebna. Nie wiem ja, czy panowie mnie dobrze zrozumieli, ale to wiem, że mówię sprawiedliwie, jak prawda jest, jak się należy. Świat nie jest teraz porządnym, bo ludzie Pana Boga zapomnieli, wyrzucili z swego serca dobroć, a w to miejsce włożyli złość, zawziętość, zawiść, chciwość, że jeden drugiemu toby, jak nie przykładając pies, z gardła wszystko chciał wydrzeć, jeden drugiego chciałby ze wszystkim zniszczyć, zgubić... Żle, źle, bardzo jest... a ja się spodziewam jeszcze gorzej...

— Dlaczego pan jesteś takim pesymistą, panie Froim? — zapytałem.

— Ja nie rozumiem, co to słowo znaczy — odpowiedział — i nawet nie chcę rozumieć; ja nie jestem ani taki, jak pan powiada, ani taki, jakby kto mógł myśleć... ja jestem stary Żyd... z dawnych Żydów.

— Stary?

— Stary, panie, stary Żyd, nie dzisiejszy... to jest różnica... I to wino, które panowie pijecie, jest inne, niż dzisiejsze... i wszystko dzisiejsze jest inne, niż dawne... tylko moc od Pana Boga zawsze jednakowa, tylko Jego słowo się nie odmieni...

Powiedziawszy to, zamyślił się smutnie.

Już noc zapadła, w stancyi zrobiło się ciemno, rozczochrana Żydóweczka przyniosła cienką szabasówkę w wysokim lichtarzu mosiężnym i postawiła ją przed nami. Czerwony płomyk tej świeczki rzucał na ścianę i podłogę fantastyczne cienie. Mosiężny żyrandol szabasowy, uczepiony u pułapu, wydawał mi się, niby pająk potworny, niby owa góra nieszczęścia, która wali się, jak mówił Froim, na ojców, na dzieci i na dzieci tych dzieci, — a sam Froim, poważny, siwobrody starzec, w owym oświetleniu niepewnym, migotliwym, zdawał się być prorokiem, wołającym: biada wam, biada! boście zatwardzili serca wasze, jak kamienie!

Konie już były napasione i wypoczęte. Maciek też zaprzął je i z łoskotem zajechał przed karczmę. Pożegnaliśmy się z Froimem, który odprowadził nas do drzwi i rzekł w progu:

— Nie omijajcie, panowie, nie omijaj pan, panie Brzozowski, naszego miasteczka i starego Froima...

Znajdziecie tu jeszcze trochę tego wina, co Francuzów pamięta... ale wstąpcie niedługo, bo czas ucieka, oj, oj, jak on ucieka! on tak ucieka, jak ptak na skrzydłach, on tak ucieka, jak wiatr, który wieje po polach... a co trochę dmuchnie, to trochę z sobą zabierze... Śpieszcie więc, panowie, bo już niedługo powiecie, że i takich ludzi, jak nieboszczyk pan Brzozowski, niema, i takiego wina, co Francuzów pamięta, też niema... i starego Froima także niema...

— Żyj pan jeszcze sto lat — rzekłem, wsiadając na bryczkę.

— Dziękuję za dobre słowo — odrzekł — ale cobym ja tu robił?

— Jakto?

— Z kim miałbym żyć? kiedy powiadam panu, że już z dawnych czasów nic niema, nawet... i wstyd, i smutno takie słowo powiedzieć... dziś nawet Żydów, jak się należy, także już niema...

\*

Odjechaliśmy.

Wypoczęte konie, parszkając wesoło, ciągnęły raźnie bryczkę po piaszczystym gościńcu; towarzysze moi, rozmarzeni starem winem, drzemali, a ja spoglądałem dokoła, o ile cienie nocy letniej pozwalały na to... Nad smutną, lesistą okolicą Podlasia świeciły gwiazdy, z nad moczarów i łąk mgła w fantastycznych kształtach unosiła się ku górze.

Zdawało mi się, że w tej mgle niewyraźnej, białawej widzę poważną postać Froima, widzę jego siwą brodę, rozwiewającą się szeroko, jego wychudłą rękę, wzniesioną do góry, i że w tchnieniu wiatru dolatuje mnie suchy głos starca...

---

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/froim>

Tekst opracowany na podstawie: Klemens Junosza, Froim - Zając, nakł. Gebethner i Wolff, Warszawa 1907.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła.

Okładka na podstawie: Danielle Haggart@Flickr, CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-0324-4

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.